

PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Michał Barabasz

Rowerem po Azji Centralnej

Relacja z wyprawy po Kazachstanie, Tadżykistanie i Kirgistanie
 Michała Barabasza i Krystiana Chruścielewskiego
 od 1 czerwca do 1 sierpnia 2017 r.

Lama tym razem odlatuje wcześniej, spotkamy się w Moskwie. Po raz kolejny na lotnisku były komplikacje. Żądają dwa razy większej opłaty za przewóz roweru, gdyż na bilecie nie zaznaczono, że będę czynił taką rzecz. Nie ma takiej możliwości, nie zapłacę więcej. Wykonali w obsłudze klienta kilka telefonów i poszło w normalnej cenie. Jednak można, jak się chce. Ładujemy w Ałmacie. Na odbiór bagażu za każdym razem czeka się z niepewnością. W głowie przebiegają myśli. Czy dotarł? Czy jest w całości? Lamie pudełko porozrywali, drobne graty wypadły, rower jest. Ja nie mogę doczekać się na swój bagaż. Po interwencji w informacji okazuje się, że został w Moskwie! Proszę zgłosić się po 15-stej – informuje pani – spróbujemy go odzyskać. Nie ma się co pieklić, trzeba czekać. Po wyjściu z terminalu zachwyca niesamowity widok ośnieżonych szczytów. Rozkładamy się na karamatach nieopodal sklepu. Do 15-stej leżakowanie. Żarka. Z nadzieją wracamy na lotnisko. Udało się, bagaż dotarł. Na drogach Ałmaty duży ruch. Zwinnie przemykamy między autami. Wielbłądy skubią trawę, niecodzienny widok. Szaszłyki z baraniny – kolacja.

Wzdłuż wysokiego pasma, delikatnie pofałdowaną drogą przemierzamy kolejne kilometry. Dużo ptactwa żyje przy drodze. Można podziwiać je z bliska, gdyż leżą na poboczach, wyzionęły ducha po spotkaniu z samochodem. Wyróżnia się gatunek z bajecznie niebieskim upierzeniem. W południe rozpoczyna się 40-kilometrowa płaska prosta. Jedziesz, a horyzont w ogóle się nie przybliża. Dzień kończymy krótkim podjazdem na przełęcz. Zjazd w ciemnościach, bardzo ciepłutko.

Docieramy do przejścia kazachsko-kirgiskiego. Tym razem problemy z pieczętą, zatrzymują nas na chwilę. Biszkek, jak to w dużym mieście, oczy dookoła głowy. Trochę telepie na tutejszych drogach. Przedni obiad wcinamy. W menu dominuje baranina, wołowina i konina, a i wielbłądziejego mięsa popróbować da radę. Mleko dromadera podchodzi jak najbardziej.

Całą noc śpią. Od rana trzeba rozkręcać nóżki, pierwsza wyższa przełęcz przed nami i tylko takie będą do samego końca. Nie udało się dziś jej osiągnąć. Długi i ciężki podjazd – 70 km, ciągle pod górę wśród kolorowych skał. Co kilka kilometrów przerwa na coś na ząb. Niespieszno, na koniec dnia walczymy z ostrymi serpen-

tynami. Będzie tego, nóżki ledwo co pchają rower. Nocleg na trzech tysiącach metrów. Wokół ośnieżone szczyty. Udaje się rozpalic małe ognisko. Minus spania przy drodze to huk od przejeżdżających samochodów.

Rano otwierasz namiot, rozglądasz się dookoła – aż „serce roście”, takie widoki. Aż człowiek rwie się do jazdy. Serpenty i... niespodzianka – tunel, droga przez przełęcz nieprzejezdna. Niespełna 3-kilometrowym tunelem, potwornie zakopconym, przedostajemy się na drugą stronę. Zjeżdżamy w rozległą dolinę ograniczoną z obu stron białymi pasmami. Dobrze, że rosyjski znamy ciut, ciut, kontakt z ludnością w miarę. W brzuchu burczy, coś by wciągnął. Treściwy obiad, jak w domu, za 10 PLN. Gulasz z baraniny z makaronem, ryżem, kaszą, ziemniakami i mnóstwem warzyw. Jak mało, to można dopchać chlebem.



Niebo przybrało granatową barwę. Wiatr z każdym podmuchem wzniesie tumany kurzu. Idealnie na odpocznik po sytym posiłku. Szybko burza się zaczęła i szybko skończyła, temperatura diametralnie spadła. Odciążamy bagaże, dociążamy siebie. Ciepłej. Droga podziurawiona jak ser. Naokoło soczysta zieleń, szumiące potoki. Wjechaliśmy w pasmo górskie Tien Szan – Niebiańskie Góry. W ten „niebiański” krajobraz powtykane są białe jurty. Można się w nich zaopatrzyć w mleko i sery oraz orzeźwiający napój wyskokowy – kumys – 4% alkoholu. Na całych połaciach przestrzeni zielonych pasą się konie. Płynnie się jedzie. Powtórka z burzą. W strugach deszczu

wpadamy do jurty. Kobitka machnęła żebyśmy się tutaj schowali. W środku dwóch gości. Jeden wisi na telefonie, wygląda jak po 10 kubkach kumysu. Drugi w czapce adidasa i gumowcach łuska słonecznik. Siadamy. Z ich strony pada propozycja spróbowania kumysu. Kwaśne. 10 dawek ciężko byłoby wciągnąć. Przystawka. Lepioszka (rodzaj chleba) i dżem z malin. Pychota. Zapijamy czajem. Znowu trafiamy dobrze. Standardowa rozmowa.



Kogoś tu brakuje? Dokładnie, kobitki. A co robi? Właśnie w tej „niebiańskiej” czeluści oporządza bydło na deszczu. Wysoko w górach pada śnieg. A ci dwaj dalej kontynuują swój relaks. Kilka razy mężczyźni powtarzali, że się żenią żeby miał kto pracować. Ich sprawa. Przetarło się. Tyle śniegu napadało. Jeszcze efektowniej wygląda krajobraz. Dobijamy do Otmok. Gorąco, w przytulnej knajpie obitej w środku płytami, taka ich boazeria, kierowca tira prosi o rozmiennienie 100\$. Potrzebuje 50 baksów na łapówkę dla milicji. Rozbijamy się za miejscowością, 2800 m n.p.m., deszczowo.

Para z ust, ciepła nie ma. „Całą noc się telepałem” – mówi zmarznięty Lama. Od siódmej rano walczymy z pochyłością drogi. Rzadko się zdarza żeby Lama tak rano wstał, jedynie jakieś niedogodności mogą to spowodować:-). Brak słów, jak góry „walczą” o prymat piękności. Pokazują się, to znowu chowają za innymi. Głowa kręci się naokoło. I mocniej na pedał, już cieplej, a temperatura wciąż spada. Obniża ją rosnąca wysokość i przedni zimny wiatr. Uśmiech coraz szerszy, bo widnokrąg się powiększa. Jak okiem sięgnąć wszędzie białe szczyty. Na przełęczy Alabel Ashuusu (3184 m n.p.m.) pamiątkowe bajeczne foty. „Ruski kaloryfer” na rozgrzewkę. Kilka ciuchów na siebie i w dół. Góry bardziej skaliste o innej barwie – dojrzalej wiśni. Może świecące ostro słońce tworzyło taką barwę? W mig zrobiło się ciepło. Powrócił przydrożny serowo-mlekowy biznes. Las wyrósł jak spod ziemi. Co za odmienny klimat. Po kamieniach skacze woda, tworząc strumienie. Baczenie całemu temu przedstawieniu przyglądają się poszarpane skalne szczyty z białymi czapkami. Ścigamy się z rzeką. Ma ochotę do walki. Przy tym się wzburza i kipi, wydaje głośny szum. Czasami zwalnia, spadając wodospadem, to szansa dla nas. Koniec uczciwej

walki, duży blat i szybko w dół. Żołądek się napracował to i się dopomina. Szaszlyk kebab – 2 razy – z baraniny z rumienistą cebulą w krążki (wiadomo czemu), dwa sosy – pomidorowy, drugi – ostry, *á la* musztarda, filizanka czegoś zmielonego – mlekoser – ta nazwa najbardziej pasuje, duży dzban czaju. Coraz skromniejsze ubranie, od razu lżej się jedzie. Koniec 60 km zjazdu. Szukamy komisariatu policji. Zjawia się niebieski samochód. „Potrzebujecie czego?” – pyta kierowca. Młody chłopaczek błąka się po miasteczku bez celu. „Komisariat? – wiem gdzie to jest, podążajcie za mną. Jak jeszcze będziecie potrzebować pomocy to dzwońcie”. Odjechał, ale numeru nie zostawił. Nie do końca udało się załatwić sprawę na policji. Droga się skomplikowała, ostre podjazdy i na ochłodę krótkie zjazdy. Kilku rozmówców pytało ile nam za to płacą, że tu jesteśmy! A inni ile nam zapłacą jak wrócimy! Dałoby się tak? Księżyc świeci pełną tarczą. Podświetla jezioro i oddziela kontury gór od nieba.

Z rana przy namiotach pojawił się gość na koniu z fają w zębach. Ochoczo pozował do zdjęć. Dzień bez szaleńczych wysokości, ale wymęczył. Od rana do zmierzchu po bardzo nierównej krawędzi wzdłuż rzeki Naryń. Co chwilę trzeba było mocno nagniać pedały, pokonując kolejny ostry podjazd. Rzeka, zamieniona w sztuczny zbiornik, olśniewa swoim kolorem, czaruje urokiem. Lazur, zieleń, błękit. Dużo energii słonecznej. Kapeć, tajwańska dętka się rozlała – takie czasy. Pełnia. Cieplutko, w samych spodenkach podziwiamy kolosa na niebie.

Powoli opuszczamy pierwszą część Tien Szan. Teren łagodniejszy, coraz szersza dolina. Pola uprawne obsadzone warzywami i sadami, można uzupełniać witaminy. Nawet pola ryżowe się zabląkały. Pierwsi sakwiarze popatrzyli na nas z nadzieją w oczach, a my dalej w dół. Na zjeździe jakoś ciężko jest się zatrzymać. Morwa, popularne drzewo przy drodze, można doładować cukier, bo krzepi. A w jej cieniu zachęcająco wygląda *Cannabis indica*, pojawia się i znika. Jeszcze nie dojrzała, ale można co nieco uskubać, jak wiesz jak.

Czasami zbieramy fanty od miejscowych: wodę, ciastka, owoce – niby nic, ale bardzo przyjemny gest z ich strony. Tak budują dobry obraz kraju, zachęcają do kolejnego przyjazdu. Można? Prosta kosa w dół, na horyzoncie pojawia się turkusowe jezioro. Zmycie brudu w takiej wodzie – sama przyjemność. Nie tylko my korzystamy z uroków tego akwenu, ciągle przewijają się ludzie. Kąpielówki i do wody. Cieplutka, chociaż lepsze doznania przy powierzchni, bo przy dnie orzeźwiająca. Mydło w rękę i pianowanie. Wstępuje świeżość. Między ludźmi stado owiec, brodząc po brzuch chlipie wodę. Nikomu to nie przeszkadza. Równowaga w przyrodzie. Jakby to UE widziała. Narąbani kompani w mig się znaleźli. Jeden służył w Niemczech za czasów radzieckiego dobrobytu. Pośmiałyśmy się wspólnie. To nie pierwszy taki przypadek, że poznajemy szczęśliwca/ochotnika/nie miał wyboru, który odbył służbę w Europie bloku wschod-

niego. Na podjazdach czasami łapiemy się ciężarówek, a przemieszcza się tu ich mnogość. Jedziesz do momentu kiedy wytrzymuje ręka. Można tak długo jechać. Mała awaria u Lamy. Śruba od bagażnika nie wytrzymała nierówności drogi. Torba narzędzi od chłopca rozwiązała problem. Drugi raz spotykamy młodego Kirgiza z rodziną. Pracuje na Ukrainie, ma miesiąc wakacji i podróżuje po kraju. Lewandowski to klasa, fani piłki dobrze go tu znają. Płot z drutu kolczastego, jak w obozie, ciągnie się kilometrami wzdłuż drogi. A co to? Mapa podpowiada, że to sąsiedni Uzbekistan się ogrodził. Po co? Smukłe wysokie topole ogradzają teren cmentarza. Przycupnęliśmy przy nich. Nocleg, pora spać, jutro Osh. Trawa tak wysoka, że grobów nie widać.

Osh, tętni życiem. Kafejka internetowa. Nasze (Lamy) zdjęcia idą w świat. Ktoś polubi, zobaczy, doda komentarz. Łatwa ocena, bez wychodzenia z domu. Doświadczy czegoś nowego na odległość. Mały problem ze znalezieniem drogi. Każdy wskazuje inny kierunek. Jak to możliwe? Jeździmy w tę i nazad, ale w końcu się udaje.

- Dokąd zmierzacie?
- W Pamir.
- Super, a macie kasę?
- Niewielką, ale mamy.
- Może wam coś dorzucić?
- Eeee, poradzimy sobie.

Nie wiedzieć czemu kierowca małej ciężarówki chciał dać nam pieniądze. Obcym ludziom z innego kraju. Świat jest niesamowity. Ma dobre i złe strony. Wielki Wóz centralnie nad obozowiskiem. Patrzenie na gwiazdy wprowadza w zadumę. A jest ku temu szczególny powód. Lama został wujkiem po raz drugi. Sprężyliśmy się, chociaż późno. Obfita kolacja w plenerze. Zimna wódeczka, pomidorki, ogóreczki. Pępkowe, niech Mateusz rośnie w zdrowiu.

„Czujcie się jak u siebie w domu” – gospodyni za każdym podejściem do stołu donosi kolejne smakołyki. Zostaliśmy zaproszeni na śniadanie przez jej męża. Sami gościmy się przy stole. Nikt nam nie przeszkadza w uczcie. Z pełnymi brzuchami opuszczamy dom. Gospodarz szczęśliwy, że gościł turystów. „Zapraszam ponownie – oznajmia z uśmiechem na twarzy. *Rach mat*”. Najedzeni pokonujemy kolejne kilometry. Częste trąbienie, ręka wyciągnięta przez okno. Uśmiech. Lubią pozdrawiać turystów. Słońce podkręca temperaturę. „Stare konie”, czyli my, kapiemy się z dużą gromadą dzieci w kanale nawadniającym pola. Bardzo zwinnie im to idzie. Co chwilę wskakują do wody, a ciepła nie jest. Z zimna trzęsą się im wargi. Straszne chudzińskie, niedługo i my tak będziemy wyglądać. Głęboki kanał i silny nurt. Mamy ogromne problemy, żeby się z niego wydostać. Dzieci śmieją się do rozpuku, gdy widzą jak walczymy z całych sił, żeby osiągnąć brzeg. Chwytamy czego się da, żeby nie porwał nas nurt. Najczęściej trawy. Jak takie chudzielce w tak łatwy sposób wychodzą na brzeg? Dwa trzy ruchy i są. Kura także chciała schłodzić się w wodzie w tak gorący dzień, ale nie dała rady i bez żywota popłynęła z nurtem.

Dociera do nas z okolicznych pól znajomy zapach. Maliny. Musimy spróbować czy tak samo dobre jak u nas, a może lepsze? Sprzedają przy drodze, skupów brak. Ciągłe jesteśmy przy pograniczu kirgisko-uzbeckim. Delikatnie komplikuje to poruszanie się. Trzeba jechać na okrężkę. Niebo przybrało kolor szary. Szukamy schronienia. Wiatr podrywa z ziemi śmieci, splątane druty elektryczne rozbłyskują jak fajerwerki. Deszcz. Mur i dach to dobra osłona. Trzeba odczekać. W takim miejscu jeszcze nie spaliśmy. Przy drodze stoją dwa duże kontenery. Bez chwili zastanowienia adaptujemy wnętrze jednego z nich pod nocleg. Idealna osłona przed wiatrem i deszczem. Namiot rozbity, rowery zaparkowane, jedzenie przygotowane, Ruski kaliber (0,5 l), cola. Muezin przypomina o powinnościach.



Otoczenie zmienia się z każdym przebytym kilometrem. Wokół wszystko wypaliło słońce. Wzdłuż drogi stoją słupy wysokiego napięcia. Tkwią tu jak skazańcy, za karę zostały postawione w tym pustkowiu. Dodatkowo muszą dźwigać ciężkie druty. Dla rozrywki służą za wyliczankę. Czy to słońce płata figle? Czy może coś tu istnieć? Na horyzoncie migoczą zielone plamy. Oaza! Coraz bliżej. Oddalone o kilkadziesiąt kilometrów stąd góry dostarczają wodę. Człowiek zaadaptował teren pod uprawy ryżu. Restauracja „Texas”. Nazwa idealnie pasuje do otoczenia. Uzupełniamy kalorie. Zieloną nawodnioną doliną ciągle do przodu. To pustynia, to życiodajna roślinność. Ciągła sprzeczność. Wiatr spowalnia pęd roweru, deszcz schładza głowę. Zza chmur wychodzą białe lśniące szczyty. Uśmiech mimo dużego zmęczenia.

Trochę pogubiliśmy się zanim dotarliśmy do granicy kirgisko-tadżyckiej. Bywa. Nadzwyczaj sprawnie przebiegło pokonanie przejścia granicznego.

Isfara – pierwsze większe miasto. Zdecydowanie inaczej niż w Kirgistanie. Wzbudzamy duże zainteresowanie, uściski dłoni, krótka rozmowa, selfie. Bardziej „arabsko”. Więcej rasy białej, sporadycznie skończoności. Teren władanie przejęły sady brzoskwiń, setki hektarów. Wystarczy zwolnić i bez zsiadania z roweru masz je w garści. Trzeba walczyć z pokusą pochłaniania dużej ilości. Trzy dni zdecydowanie po płaskim. Albo pola uprawne

z przewagą sadów, albo wszystko wypalone przez życiodajne słońce. Nogi odpoczęły, tak się mówi, przecież cały czas muszą kręcić. Wbijamy się w kolejne pasmo. Droga zawijasami pnie się do góry wzdłuż strumienia, który miejscami wyrzeźbił w ciągu tysięcy lat (a może milionów) szeroki na kilkadziesiąt metrów wąwóz. Stojąc na jego dnie jesteś ograniczony pionowymi 60–100 m ścianami. Oblęd. Szlaban broni dostępu do przełęczy. Nie możecie tamtędy przejechać – macha wojskowy. Z grymasem na twarzy w półmroku przedostajemy się na drugą stronę pasma pięciokilometrowym tunelem, który zbudowali Chińczycy. Dużo tu budują. Wielka szkoda, ominięły nas zapewne piękne widoki. Po drugiej stronie delikatnie ślapi. Czas na zjazd. Rower rozpędza się w moment. Trzeba go kontrolować, bo chciałby coraz szybciej. Otoczenie czaruje coraz bardziej wyszukaną formą. Skały co chwilę zmieniają swoją barwę. Nie daj się zwieść temu urokowi, bo granica jest cienka, przy dużej prędkości jeden błąd i *adiós*. Skały poprzekładane jak wielowarstwowy kolorowy placek. Nie można się nadziwić jak to powstało. Gratka dla geologa. Pasuje odpocząć od tych emocji. Szama. Dobrze trafiliśmy, szło się smacznie najeść. Niebieskie oczy Lamy oczarowały jedną dziewczynę. Kokietowała go jak mogła, ale na próżno. „Do swidani-*nija*” rzekł i odjechał. Dzieci z tego nie będzie. Szukamy miejsca na nocleg. Przejście przez byle jak sklecony, kołyszący się most nad wściekle rwącym strumieniem powoduje przyśpieszenie bicia serca. Jutro z rana w drugą stronę. Ufff. Siedzimy koło namiotu, miliony gwiazd mrugają do nas, nic nie zakłóca ich uroku.

Wychodzę z namiotu. „*Salam alejkum*” – wita mnie chłopiec. Przyniósł czaj, lepioszkę, masło i cukier – coś na ząb. Miły gest. Trochę podjedliśmy, jednak nie obędzie się bez porządnego śniadania. Iskanderkul – lazurowe jezioro ukryte w górach – tam zmierzamy. Końcówka to ciężki podjazd. Okazuje się, że za pobyt w tym miejscu trzeba zapłacić. Tyle włożyliśmy wysiłku żeby tu dotrzeć i jeszcze mamy płacić? Oznajmiamy, że zjemy coś i spadamy. Strażnik machnął ręką, niech tak będzie. Lokal gastronomiczny tani nie jest. Coś zamawiamy, mało tego. Lama, mistrz improwizacji, ratuje sytuację. Zorganizowana grupa turystów przy sąsiednim, długim stole zostawiła trochę jedzenia. Wiadomo, jedzenia nie powinno się marnować, tyle głodu na świecie, my głodni, a i zapłacone. Zgarnia na talerz nienaruszone porcje ryżu z warzywami. Obsługa się śmieje. Bierzcie co się da, trochę zaoszczędzicie. Można! Z pełnymi brzuchami obserwujemy lazurowe fale uderzające o brzeg. Urocze miejsce, ale spodziewaliśmy się nieco większych doznań. Mieliśmy tu zostać na nocleg, ale tak wyszło, że już jedziemy dalej. Znowu pod górę, tak to w górach jest. „Misiu, czemu pod górę jedziemy cały dzień, a z góry tylko chwilę?” – nieraz pyta Lama. Zatrzymuje się samochód. „Może was podwieźć – bo za chwilę macie sześciokilometrowy tunel ohydnie zadymiony, do tego niebezpiecznie go przemierzać na rowerze”. Przekonał nas kierowca. Bicykle na pakę. Ciemno, szaro, duszno, zadymione, łatwo

nie byłoby na kółkach. Spadł nam z nieba. Wysiadamy po drugiej stronie. Wszędzie białe i wieje silnie. Pod górę mijają nas samochody, a w tym momencie sytuacja się odwróciła. Pędzimy na złamanie karku między autami. Cały czas mamy głęboką nadzieję, że w czasie zjazdu nic nieprzewidzianego się nie wydarzy. Nic nie pęknie i nie odpadnie w rowerze. To adrenalina pcha do ryzyka.

Du-szan-be było be... W cieniu nie ma czym oddychać. Niezrozumiałe obrazy. W jednym parku koszą trawę spalinowymi kosiarkami a w drugim sierpami. Pierwszy sprzeciw organizmu. Nie podeszło. Tylko co? Jedzenie, woda? Niedźwiedź przed snem, opróżniony żołądek, nadzieja na lepsze jutro.



Wczorajsza wieczorna cofka pomogła mi, Lamie nie. Zmaltretowany od rana. Leżakowanie pod sklepem. Tym razem to tylko lekkie zatrucie. Po całodniowej walce idzie ku lepszemu. Z wolna wzbijamy się coraz wyżej. Skończył się asfalt, miejscami pozostały jego strzępy. Tempo jazdy spadło. Rower sunie w ciągłych wstrząsach. Z góry czy pod, to samo tempo. Trzeba częściej odpoczywać. Miejscowości gdzie można zaopatrzyć się w coś do jedzenia są rzadkie. Przygłodowaliśmy dziś na własne życzenie. Jutro będzie łatwiej, bo wiadomo czego po dalszej drodze się spodziewać. Na podjeździe spotykamy sakwiarza z Argentyny. Pcha rower, dużo przed nim takich ostrych nachyleń. Jak widać lekko nie ma. Tylne koło tańczy po kamieniach, łapie przyczepność. Różnie bywało na miejscówkach noclegowych. W okolicy kilka osłów na zmianę daje koncert. Każdy po swojemu. Czy będzie tak całą noc? Oby nie.

Dzień pełen emocji, rano trochę pochmurno. Most na rzece zerwało. Zrobili z boku zastępczą kładkę, rowerem przejedziesz, samochody i motocykle – nawrotka. Taka przewaga tego środka lokocji. Co to był za podjazd! Rzeź nóg, mięśni i mózgu. Po stromych odcinkach trzeba było robić chwilę przerwy. Brakowało tchu, migotanie komór i Bóg wie co jeszcze się z nami działo. Pod koniec byliśmy tak zmęczeni, że włączyła się głupawka. Śmiałyśmy się ze wszystkiego.

Przełęcz Aghbai Khoburbot (3252 m n.p.m.) brama do Pamiru. Delikatny wietrzyk, cisza przerywana odgłosami beczących owiec, szczyty przykryte białą pierzyną.

Zmęczenie odpływa z każdą chwilą. Słońce pali twarz, w szczególności nos, zauważysz to dopiero wieczorem. Krem. Za późno. Nos fioletowy jak po dłuższym spożyciu jabłuszka sandomierskiego. Chmury pierzaste, dają chwile wytchnienia. Teraz będzie w dół. Długo. Dacie wiarę, że jazda w dół również może zmęczyć? Spowodowane jest to złym stanem nawierzchni. Po 20 km klocki od ciągłego hamowania rozgrzane są do czerwoności, a dłonie łapią skurcze. Strumienie ze wszech stron spadają z hukiem, tworząc coraz większy potok wody. Otoczenie zachwyca. Po lewej wysoka ściana skalna, po prawej głęboki kanion. Po kilkunastu minutach można dalej, hamulce ostygły. Coraz niżej, teraz wzdłuż szaleńczo mknącego strumienia. Żołądek prosi o pokarm. Restauracja niczego sobie. Gulasz. Głęboka dolina ograniczona wysokimi górami. Rzeka graniczna – Pandż. Afganistan po drugiej stronie. Tak blisko. Normalnie, cisza, domy, drogi, życie. Oznak wojny nie zauważyliśmy. Mimo tego, gdzieś z tyłu głowy, telewizyjne obrazy z tego kraju są. Ale nam pająk napędził strachu. Siedzimy koło namiotu, a tu lezie mi coś po nodze. Z 10 centymetrów miał. Mógł być jadowity, a może nie. Pająk był jadowity. Pan wyja-

szedł w ruch. Pijcie, pijcie i oddychajcie. Częstość, grzech nie skorzystać. Uwaga wzrasta, bo kierowcy na bani też jeżdżą. Szaszłyki powróciły do menu. Pierwszy raz z kury, palce lizać. Słowo o płci pięknej, choć to za mało. Długie, długie ciemne włosy, obłędne oczy, niebiański uśmiech. Patrzysz na nią. Zapominasz o bólu, zmęczeniu, jakbyś znowu miał 16 lat. Często to się zdarza. Dwa razy spotkaliśmy tego samego anioła, „mieszankę” Azjatki i Europejki. Podróżuje stopem. Nie można było się na nią napatrzeć. Tak czarują te dziewczyny. Brak nam trochę odwagi, żeby nawiązać bliższe relacje. Uczta, koniec ramadanu. Tylko żeby zdrowia starczyło. Dalej mamy dobrą kartę. Znaleźliśmy nocleg w centrum miasta. Na opuszczonej budowie, zamienionej na prowizoryczne boisko.

Awaria, awaria. Lamie drugi raz ucina śrubę od bagażnika. Chłop na wsi zawsze pomoże. Gwóźdź, spawarka, bzyk, bzyk. Nowa śruba szlifierką kątową skrócona do odpowiedniej długości i w drogę. Sanatorium jest po drodze. Główna atrakcja to baseny geotermalne, a raczej mały basenik. Chwilę pomoczyliśmy się i dalej. Konkretnie wiało, kilometry leciały jak szalone, bo to tylny wiatr. Góry rosną w siłę, coraz wyższe, zaczynają

przekraczać 5 tys. metrów. Docieramy do majestatycznego pasma Hindukusz. Szczyty rzędu 6–7 tys. m to tu nie rzadkość. Zza pierwszego pasma wyglądają zlodowaciałe wierzchołki gór, bacznie patrząc co to za świry jada. Znowu głód zajął do żołądka. W jedynej restauracji puste gary. Zupkę chińską jedynie mają. „A jajca pan masz?” – „Da”. Lama wdział fartuch i już pichei w restauracyjnej kuchni. 10 jajek i cebula. Nie było z czym poszaleć. Za chwilę wcinamy. Właściciel z uśmiechem na to patrzył.

Doganiamy Argentyńczyka, drugi raz. Jak to możliwe, że jest przed nami? Powolutku brnął do przodu. A tak. Teleportacja. Wrócił do Duszanbe, a stamtąd taksówką do Chorogu. Mijamy młodego Hiszpana, kupił rower w Duszanbe za 200\$ i bez żadnego ekwipunku jedzie przez Pamir. Ale wariat!

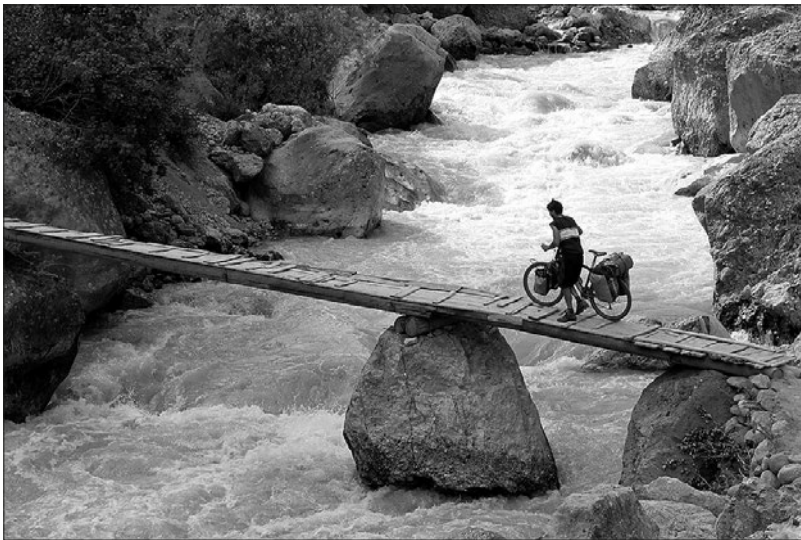
Droga zmieniła się, pojawiła się złośliwa „tarka”. Jedziesz jak po torowisku. Trzeba trzymać poboczne z częstą zmianą na drugą stronę, gdzie w miarę da się jechać. Z czasem idzie coraz lepiej. A i na wydmy na drodze trzeba uważać, łatwo zaliczyć szlifa. Lamie nie za bardzo noga podaje i to podłoże. Proponuje parę kilometrów podjechać autem w kierunku przełęczy Aghbai Khargush (4344 m n.p.m.). Szkoda trasy, ale nic na siłę. Jak znajdziemy dobrą opcję podwózki, niech będzie. Oferentów paru jest, ale stawki mają niemieckie.

– Panie my z biednej Polski. Ledwo 600\$ zarabiamy.

– W tydzień?

– Ta, w tydzień. W miesiąc!

Rozglądamy się. Młody chłopak proponuje podwózkę. Szybki targ i wynegocjowaliśmy atrakcyjną stawkę. Osiem razy taniej niż u pierwszego. Spakowani, można jechać. Droga momentalnie wspięła się na 3600 m. Trzeba byłoby pchać rowery. Znaleźliśmy się w oszałamiającej scenerii. My po ścianie Pamiru tańczącą drogą góra-dół z cudownymi strumieniami, poniżej w głębokiej doli-



śnia, że jakby uraczył swoim jadem, to trzeba szybko do szpitala. A gdzie tu znaleźć coś takiego?

Wjechaliśmy w wąską gardziel. Mieści się tylko rzeka i droga. Ograniczają je wysokie ściany skalne, których budowa geologiczna zmienia się jak w kalejdoskopie. Nie można tej różnorodności pojąć. Dreszczyku emocji dopełnia fakt, że te ściany ledwo kupy się trzymają. W każdej chwili może to wszystko runąć. Jedzie się z lekkim cykorem. Znowu przewaga roweru. Tir zawiesił się, zablokował przejazd. Korek. A my boczkami i dalej. Ciężko się skupić, płynący Pandż wytwarza ogromny huk. Tak wypadł nocleg.

Pandż zwolnił tempo, sunie powoli, tworzy rozlewiska. Z satysfakcją z takiego stanu rzeczy korzystają dzieci, kąpiąc się w przybrzeżnych płycznach. My również nie omijamy takiej okazji i dawaj do wody. Brrrr. Krew krąży szybciej i jak świeżo. Lepiej się kręci. Zimna woda daje mocy. Udało się podgonić dystans. Chorog (2100 m n.p.m.). Rzeka ludzi i samochodów. Skończył się ramadan. Czas celebracji. Odczuliśmy to od rana. Alkohol po-

nie lazurowa szumiąca rzeka Pamir przyozdobiona na brzegach zielonymi drzewami i zaroślami, a po drugiej stronie potężne pasmo górskie skąpane w słońcu. Trasa fantastyczna, na rower bardzo trudna. Porażenie mózgu przez 60 km. Po drodze było kilka przystanków, bo te chińskie samochody słabiutki. Woda zagotowana i stop. 500 km wzdłuż Afganistanu. Spokojniutko. Momentami odnosiliśmy wrażenie, że tamta strona urbanistycznie wyglądała bardziej ciekawie niż kirgiska. Grzechem byłoby nie skosztować słynnego wyrobu z Afganistanu będąc u jego granic. Towar *pierwyj sort* w dobrej cenie. Końcówkę przełęczy wjedziemy na kołach, chociaż tyle. Po przejechanych dwustu metrach wysokość dała o sobie znać. Płuca nie dają już tyle tlenu. Za skorzystanie z nieuczciwego rodzaju przemieszczania się na wyprawach rowerowych – nadeszła pokuta. Silny wiatr z przodu. Przyjęty z pokorą.

Może w jurcie coś zjemy? Choć z zewnątrz wygląda przeciętnie, wewnątrz wzbudziło zachwyty. Wow! Gospodyni przygotowała rarytasy: kasza manna, masło od jaka, jogurt, lepioszka, czaj. Można za dychę zdrowo się najieść.

Podziwiamy to co powyżej 4000 m, bo po takiej teraz wysokości przebiega droga.

Wyglądam z namiotu. Nie wiem czy to lepiej czy gorzej, ale spadają białe płatki. „Lama, śnieg pada” – przekazuję uśmiechnięty do drugiego namiotu. „Pierdolisz?!” – zwięzłe przerażenie. W uszach ciągle piszczy – ciśnienie. Duże ładowarki jadą na kołach z Chin przez cały Pamir do Duszanbe. Mijaliśmy już kilkakrotnie takie konwoje. Nieziemsko to wygląda. Troszkę zwalniamy tempo. Nogi muszą odpocząć, nabrać świeżości, bo podjazdów jeszcze mnogo.

Murgob (3600 m n.p.m.). Miasto? Wieś? Osada? Z daleka wyglądało jak miasteczka z Lanzarote. Mylne spostrzeżenie. Lepianki z gliny pobielone białym wapnem. Jakby zaraz chciały się rozpaść. Rozgardiasz. Po ulicy przemykają ludzie, a Lama na boisku kopie piłkę z młodymi futbolistami. Coś tchu mu brakuje. Zmienia obiekt zainteresowania. Łatwiej fotografować kozy, też biegają po murawie.

Pogoda ukazuje swoje drugie oblicze, toczy po niebie granatowe bałwany zsyłając deszcz, a wyższe partie gór oplata śniegiem. Cały dzień w deszczu i zimnie, choć opad tak nie przeszkadzał jak przedni zimny wiatr obniżający i tak niską temperaturę. Co jakiś czas trzeba się zatrzymać, żeby rozgrzać ręce. Półkoliste sklepienie z gliny i kamienia, ściany z cegieł suszonych na słońcu. W środku sucho, bezwietrznie i sporo miejsca płaskiego. Kilka takich komór jest. Mieszkały tu kiedyś kozy i owce. Zapach po zwierzętach pozostał. Bierzemy. Ale wcześniej wracamy 1 km, by w chacie coś zjeść, zagrzać się. Odpoczywa tam sakwiarz z Niemiec – Lukas. W podobnym celu tu zajechał. Najprościej jak się da, chleb z masłem zapity słodkim czajem lub „osłodzony” solą. Kurtki na grzbiet i na wyśmienitą, jak na taką pogodę, miejscówkę. Wcześniej od nas wyjechał Lukas. Na odchodne rzucił, że jedzie szukać coś dalej. Zaświtało nam w głowach, że może tamto miejsce znać. Ślady na gruncie zdradziły 100 metrów przed, że jest w środku. Dużo przestrzeni, zmieścimy się. Atmosferę rozluźniła kostka z Afgani-

stanu. Szybko znaleźliśmy wspólny język. Otoczenie czarowało niepowtarzalnymi widokami. Niebo zaczęło się przecierać.

Pierwsze, co nasunęło się po przebudzeniu to czy pada? Nie pada! Chłodno. Szybko w ubrania, śniadanie i na rower. We trzech. Świeci słońce, pada przelotny deszcz albo śnieg. Jedzie się niezwykle dobrze. W dobrym tempie wpadamy na Aghbai Ak-Batal (4655 m n.p.m.) najwyższą przełęcz Pamiru. Zmęczeni, ale świadomi swego celu. Krajobraz nieprzeciętny, zachęca żeby pozostać dłużej. Chłoniemy piękno. Pozostaje w pamięci, dalej do przodu. Cel tego dnia już widać na horyzoncie – jezioro Karakol. Duże, ogromna lazurowa tafla. Jeszcze 30 km niekończącej się prostej. Delikatnie pofalowany teren powoduje złudzenie, że stoisz w miejscu. Z trudem dotarliśmy do miejscowości o tej samej nazwie co jezioro. Umordowani fizycznie i psychicznie. Rower to nie pojazd mechaniczny, ciągle toczysz walkę. Lukas wybrał hostel, my namiot. Wiatr ukołysał do snu.

Suwak w namiocie w górę, rześko. Powiększają się oczy. Co za widok. Pik Lenina oślepia swoim białym blaskiem. Siedmiotysięcznik. W głowie się kręci od emocji. W jakimkolwiek kierunku spojrzysz, zastygasz na dłuższy moment, próbujesz zrozumieć to co widzisz, chłoniesz, oddajesz się magii, chwytasz chwilę, która się nie powtórzy, ale się powtarza, można tak trwać bez końca. Śniadanie. Zawsze zamawiamy ponad normę. Dwa jajka w standardzie – żaden posiłek! Dla nas to 5 jajek. Z niedowierzaniem patrzą. Potrzebujemy mnóstwo energii. A jaja mają moc. Powiększyła się ekipa o jeszcze jednego, a jakże – Niemca! Niezbyt popularne ma imię, nie zapamiętałem. Tempo jazdy zwiększa się, każdy chce się pokazać. Chciałbyś jechać swoim tempem, ale nie chcesz być gorszy. Czerwony, zielony, granatowy i nie idzie odgadnąć wszystkich kolorów. Towarzyszące drodze góry grają z nami w zagadki. Jakiego koloru jesteśmy. Mózg paruje od tego, cierpi. Dusza szczęśliwa.

Jak za odcięciem noża, góry Pamiru się kończą, a wraz z nim Tadżykistan. Wpadamy do szerokiej, płaskiej, zielonej doliny. Na równinie przycupnęły jurty. Z daleka wyglądają jak duże, białe pieczarki. Zwierzęta domowe cieszą się pełną wolnością, skubiąc soczystą trawę. Pierwsza miejscina w Kirgistanie – Sary Tash. Stąd rozpościera się kosmiczny, nierealny, zapierający dech w piersiach widok na Pamir. Porażenie mózgu po raz drugi. Zauroczenie, które nie przemija. Ciało z emocji aż drży. Nadeszła noc i wszystko zakryła. Teraz po takich doznaniach można iść spać. Zaraz, zaraz. A świętowanie? Pokonaliśmy niesamowitą drogę – Pamir Highway. Kolejne marzenie można odhaczyć. Jedna flaszka, druga flaszka i też trzecia kurde bele leci. Atmosfera znakomita. To Lukas dobrał sobie kompanów z Polski. Chwilę łąpał pion nim poszedł spać. Hahahaha. Drugi Niemiec wybrał hostel i minęło go wspólne biesiadowanie. Tak w ogóle, to odbija w stronę Chin, a Lukas dalej z nami.

Ostatnie poranne spojrzenie na białą ścianę Pamiru. Żal odjeżdżać. Walimy na przełęcz Taldik Ashuu (3615 m n.p.m.), hop i jesteśmy. Część o własnych siłach, część podparliśmy się ciężarówką. Lukas z niedowierzaniem patrzył, jak przy pomocy samochodu, w kilka minut

znaleźliśmy się na szczycie. Nie miał zielonego pojęcia, że tak można. Ach ci Polacy, zawsze coś wykombinują. Jego niedowierzanie wzrosło, jak zobaczył nasz zjazd z przełęczy po serpentynach. Wy to jacyś wariaci jesteście – skwitował na dole. Teren coraz bardziej przyjazny człowiekowi. Pośród zielonych zboczy gęstnieją jurty i chałupki. Wałęsają się zwierzęta, kobiety oporządzają gospodarstwa, a dzieci ile sił w nogach biegną w kierunku drogi, by nam pomachać. Rzeką Gulcza modeluje rzeźbę terenu. Jadąc jej doliną nie ma nudy. Spotykamy moto-



cyklistę z Polski, wspomagamy jego budżet, bo nie ma gdzie wymienić kasy. Jeszcze chwilę temu miał gotówkę, ale ograbiła go policja na wjeździe do miasta. Za szybko jechał, tak stwierdzili.

Pierwszy raz od dłuższego czasu od razu po pobudce jest żarka. Miło. Konkretnie śniadanie i atak w górę. Znowu rozpoczynamy podjazd napędzając rower nogami, jedynie Lama został na dole. Czeka na okazję łatwej jazdy. Ciężarówka suną powoli, grzech nie skorzystać ze wsparcia. Namawiamy Lukasa. Na początku nie wiedział jak się do tego zabrać. Lama robi szybkie przeszkolenie, auta nie będą czekać. Chwyta z tyłu naczepę. Łatwe. Na przełęczy Lukas cieszy się jak dziecko. Pierwszy raz tak podjechał. Czegoś się od nas nauczył. To ostatni dzień naszej wspólnej podróży. Postanowił odpocząć w Osh, zmęczenie materiału, ponad rok już na dwóch kółkach, a jeszcze rok przed nim. Przed rozstaniem lekcja numer dwa. Jazda po płaskim za ciężarówką. Szybko tu nie jeżdżą, 50 km/h. Wpadasz w jej „tunel” i ciągniesz za nią, tylko uważnie, żeby się w nią nie wkleić. Z uśmiechem pokonujemy bez większego wysiłku dystans do Osh (25 km). W geście radości Lukas przybija piątkę. „Tak też nigdy nie jeździłem” – mówi rozradowany. „*You are a little crazy*” (jesteście trochę szaleni) – podsumowuje. Tak mamy. Bo jak inaczej żyć. Świat jest olbrzymi, a może mały? Nie wiesz nigdy kogo spotkasz. Pełnia. Mrówki dopadły owada, przetwarzają go na pożywienie. Nastal spokój, niepokój odpłynął. Najtrudniejsza część trasy za nami. Fart, głupota, doświadczenie? Co nam pomogło w pokonaniu jej? Mijamy mnóstwo sakwiarzy, wszyscy zapakowani na maksa. A my jak zawsze mamy tyle, aby przeżyć i nadal to działa. I niech tak będzie.

Osh, jedno z większych miast Kirgistanu. Przez centrum przepływa rzeka, temperatura wody normalna, zapewniają mieszkańcy. I tak jest, tylko że na początku trochę brrrr. Przyzwyczajenie przychodzi szybko, teraz można siedzieć do oporu. Po dwóch tygodniach rozbratu z wodą, mydło czyści jak szalone. Wstępuje nowa jakość. Rzeką przyciąga wielu amatorów, daje schłodzenie organizmu.

W Osh pozostajemy dłużej, świat wirtualny wzywa. Pomieszczenie klimatyzowane, przyjemniej niż na zewnątrz, a tam prawie 40°C. Jedzenie na mieście nie weszło. Kolacji też nie było. Ufff.

Z rana szło ekspresowo. Wiatr napędzał rowery. W Dżalalabad coś na wzmocnienie sił. Rozgrzane ciała przed noclegiem chłodzimy w publicznym basenie. Można by tak częściej.

Na dzień dobry – skucha. Nie tą drogą jedziemy – mówi pan z ciężarówką. Mogę was podrzucić do odpowiedniego waszego kierunku. Furgonetka zapewne produkcji rosyjskiej, załadowana butlami. Na nich nasze rowery. W kokpicie łącznie 8 osób, wesołe towarzystwo. Pracują przy budowie drogi. Stałe pytanie: ile wam za to płacą, że tu jesteście? Kierowca na fajki dostał. Cały dzień w górę, asfalt *bye, bye*. Szutr zaskoczył przyjemnie, pozwala na płynną

jazdę. Dzień bratania się Lamy z miejscowymi. Tu na jedną nogę, tam na drugą. Świetnie się jedzie – mruga okiem. Z tego szczęścia zapomnieliśmy kupić coś do jedzenia, a ostatni magazyn daleko z tyłu został. Musi wydarzyć się coś dobrego. Nieopodal jurty bawi się gromadka dzieci. Pytamy czy możemy tutaj zjeść. Pewnie! Rozradowane biegną poinformować do jurty, że goście jadą. Nim zsiadliśmy z rowerów, na kocu ułożonym na ziemi ładuje jadło. I to jakie. Świeżutka lepieszka, zmielone maliny, kefir, płow (ryż z warzywami) – duża micha, a na błogą ośłodę arbus. Przyjemnie się leżało w cieniu topoli po posiłku. O zapłacie nie chcieli słyszeć. *Rach mat*. Resztkami sił docieramy do podnóża jutrzejszego celu. O dziwo – restauracja. Jedzenie nie za specjalne. Żołądek znowu swoje, niegodziwy przyjąć posiłku. Może śniadanie wyjdzie lepsze kucharzowi. Jajka na twardo i lepieszka. 10 sztuk bierzemy. Zdziwiona mina. Nie mam tyle, zaraz dogotuję. Tutaj mają odmienne zdanie co do czasu gotowania jajek na twardo. Zawsze są czarne. Ale nie tym razem, te dogotowane nie dały się obrać, bo się rozplywały. Śmiesznie i głodno.

Kok Art Ashuusu (3318 m n.p.m.), 1300 m przewyższenia, 17 km podjazdu. Delikatnymi zawijasami coraz bliżej chmur. Jak się ma jedzenie to się po drodze uzupełnia energią. Został ostatni baton. *Emergency*. Jaki radosny był Lama kiedy otrzymał połowę i tak małego batona. Jak pomogło na psychikę! Powyżej nas tylko skaliste szczyty i olbrzymie ptaki w powietrzu. Jesteśmy. Ooo, turyści z naprzeciwka. Z drugiej strony jakość szutru podobna. Lecisz z uwagą w dół, podskakując na kamieniach. Czysta przyjemność. Tylko żeby przód nie uciekł. Pierwsi rowerzyści z Polski, tylko że w przeciwnym kie-

runku zacierają. Kilkuminutowa wymiana informacji i dalej do celu. Wszędzie kolorowe łąki, pełne kwiatów i pszczoł. Sielsko. Kwarantanna zakończona, można jeść bez umiaru, żołądek zgłodniał/złagodniał.

O wschodzie słońca krwiożercze komary w mig przegoniły nas z noclegu na łące. Pakowanie w pośpiechu. Znowu sklepu nie było po drodze. Z samego rana z zatrzymanego auta dostaliśmy: baraninę, pieczywo i owoce:-). Dzięki temu zjedliśmy śniadanie. Samochodem podjeżdżają Holendrzy. „Potrzebujecie czegoś?” – pyta pani przez okno. Kłamiemy w żywe oczy że nie, choć jedzenie się już skończyło i jesteśmy głodni. Kilometr dalej mijają nas Polacy, również autem. Macham żeby się zatrzymali. Pierwsi nie stanęli, drudzy nie za bardzo chcieli się zatrzymać, ale stanęli. Polska gościnność. Sporo do spożycia dobrości przyjęliśmy. Sympatyczni ludzie ze Śląska. Wieczorem wychodzi na jaw, że Lamy „GoPro” gdzieś się zapodziało. Bo 13-stego? Morowe nastroje. Może została w trawie w czasie porannego pakowania? Albo spadła z torby?

Na południe dopiero dało radę wyścibić nos z namiotu. Opady, intensywne. W drodze dedukcji wyszło, że w zaginięciu kamery brały udział osoby trzecie. W czasie naszych zakupów to się odbyło. Skwaszone miny dalej zostają, jakoś się jedzie. Ostro pod górę. Chmury odpoczęły, więc wznawiają pracę zsyłając deszcz. Grząska droga, mokro i końca nie widać. Na przełęczy Kara Koo Ashuusu (2625 m n.p.m.) tylko na chwilę zwalniamy i dawaj w dół szukać ciepła. Zziębnięci. Coś na rozgrzewkę w sklepie przybieramy, a i uspokoi skołatanę nerwy po stracie. Pomagamy Baskowi, bo za cholerę nie może się porozumieć.

Powrót w góry, w których występuje opał. Tylko przyroda, ognisko i disco. Nawrotka 180° i wyżej. Gładko poszło, bez zbędnego wysiłku. Moldo Ashuu (3201 m n.p.m.) otwiera drogę do lazurowego jeziora Song Kol – krainy kumysem płynącej. Wokół jeziora śnieżnobiałe jurty. Konie, dużo koni. Jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc w Kirgistanie. *Chill out*. Obiad w rześkim powietrzu. Chciano nas wyswatać. „Was dwóch” – mówi matka – ja mam dwie córki – ciągnie. Co wy na to?”. Córki śliczne, miejsce piękne, ale żeby zostać tu na zawsze? Kilka miejsc czeka jeszcze na odwiedziny. Pozostanie zdjęcie ze ślicznotkami. Atak gradu, kilka siniaków nabił. Kolacja w przypadkowej jurcie, gospodarz zaprosił. *Diengi, nie nada. Rach mat*. Rozochoceni kilkoma filiżankami wymienitego kumysu, mimo późnej pory, podejmujemy finałowe cięcie. Ostatnia przełęcz. O zmroku stajemy na Kałmak Ashuu (3446 m n.p.m.). Długie galoty, rękawiczki, czapka. Dłonie przymarzły na zjeździe. Niespodziewany kapeć zdecydował o noclegu.

W dół, dół i dół po równiutkim asfalcie. Po czterystu kilometrach szutru. Siedmioosobowa ekipa z Rosji reanimuje swoje rowery. Po krótkim dystansie w tym terenie sporo ucierpiał. Trochę nieodpowiedni sprzęt. Mijamy się z burzą. Najpierw próbuje nas zatrzymać swoimi silnymi podmuchami, by z czasem oddać to, co zabrała. Rozpędza do dużych prędkości. Wiatr napiera na plecy, ciężarówka nie mogą nas wyprzedzić. Na poboczu, co rusz leży węgiel. Lama zbiera, będzie można coś ugotować. Końcówka burzy wpędza nas wprost pod most. Scene-

ria wokół nie bardzo, dużo śmieci wala się, najslabiej wyglądają zużyte pampersy. Węgiel dobrze się rozbijał. Ugotowane, swoje i ciepłe.

Wakacje czas zacząć. Jezioro Issyk-Kul wzywa. Kirgiskie „morze”, tak tu mówią. 200 km długie i z 80 km w najszerszym miejscu. Mieszkańcy ochoczo wypełniają brzegi. Dołączamy do rozradowanych ludzi. Nie jednego kielicha aplikujemy. Tacy gościnni. Lubią turystów. „A wy skąd? Polska! Pozdrówcie Janka (Janusza Gajosa) z czterech pancernych”. Woda w jeziorze *charaszo*, czyli zimna. Plaża z namiotami.

Przez kilka dni wzdłuż jeziora. Chwilowa kąpiel ochładza ciało i orzeźwia umysł. Świetlista smuga tnie niebo, a na końcu wybucha – to bolid spadł. Zachwył. Rozpoczął się wakacyjny deszcz meteorytów. Warto w nocy popatrzeć w niebo. Spełniają się życzenia/marzenia.

Zdarza się, że przejeżdżające samochody podkreślają emocje. Jeden otarł się o mnie. Lusterko się złożyło po kontakcie z Lamą. Kierowca pojechał dalej. Na cyku mógł być. Tu normalne.

Ostatnia noc w Kirgistanie, tak się wydawało. Plany pokrzyżowała sprawa kryminalna, zostajemy dłużej. Było mniej więcej tak. Częste wieczorne pogaduchy. Co było, gdzie, kiedy. Lato odeszło, nie posiedzi przed namiotem, ale wewnątrz – jak najbardziej. Wychodzę z namiotu Lamy na zewnątrz i coś w najbliższym otoczeniu się nie zgadza. Brakuje jednego welocypeda – mojego. Ktoś zakosił. Niedowierzanie! Może żart? Przeszukaliśmy pobliskie krzaki – nie ma. Cichaczem to zrobili – profesjonałści. Północ, dziś już nic nie wskóramy. Ciężko zasnąć i ciągle jakieś głosy w pobliżu. Lama wciągnął niemal cały rower do namiotu. Całą noc nie spałem. Na dodatek leżałem w ubraniach, butach, w jednej ręce statyw a w drugiej nóż. Rano są ślady opon, idziemy po nich. Po 300 m nagle znikły. Co dalej? Idziemy do najbliższej wioski, najlepsza opcja. Spotykamy mieszkańców, opowiadamy co się stało. Szybko organizują grupę poszukiwawczą. Proszą żeby nie dzwonić na policję, bo jak oni przyjadą to będzie niewesoło. Pomożemy odnaleźć ten rower – zapewniamy. Chodzimy od chałupy do chałupy, zaglądając w gospodarskie zakamarki. Rezultatów żadnych. Grupie ochotników w znalezieniu zguby przewodniczył ichniejszy wójt. Cały dzień na to poświęcił, swoim autem jeździł, do pracy nie poszedł. Koło południa wspólna decyzja. Potrzebna policja. Widać, że nie chcieli tego. Przed przyjazdem władzy syty posiłek u jednego z wolontariuszy akcji. Trzy samochody, 15 osób – pokaz siły państwa. Przyjechali. Różni stopniem. Podział na dwie grupy. Od nowa odwiedziny po wsi, numer za numerem. Cała miejscowość stoi na baczność. Też słabo poszło. Mimo tego mundurowi uśmiechnięci i z dobrym żartem. My niekoniecznie. Wieczorem przyjeżdża inspektor. Przeprasza w imieniu ludu kirgiskiego, że doszło do tak haniebnego czynu. „Nie martwcie się, jutro go znajdziemy” – mówi to z przekonaniem. Trudno w to uwierzyć. Wójt zaprasza na nocleg: „Najecie się i wygodnie wyśpicie”. Gdzie nam lepiej będzie, jak nie u wójta. Jeszcze tego samego wieczoru zapada decyzja. Jutro rano jedziemy do Karakol kupić kitajskie cudo techniki na dwóch kółkach. Oczywiście wójtowym autem. Wygodne posłanie, sen zapadł.

Śniadanie. Stróże prawa lubią jeść, jak nadarzy się okazja, to korzystają. Nie trzeba martwić się o posiłek w pracy. Kierowca dobrze mknie. Po drodze pasażerów przybywa. Ekonomiczny sposób przemieszczania się. Jedziesz autem z wolnymi miejscami, bierzesz tych co machają, jak na stopa, tylko, że obowiązuje niewielka opłata. Ile uważasz. Ludzkie. W Polscy strach. Bo napadną, okradną, zaraz uświnia, a mam nowe auto. Tak się poznaje ludzi. Salon używanych rowerów zamknięty, właściciel pojechał popływać w jeziorze. Interes poczeka. Bazar. Asortyment nędzny, wyróżnia się białe BMW – rower. Nie nadaje się do dłuższej jazdy, tylko po bułki. Wracamy do salonu. Numer telefonu na bramie. Niezastąpiony wójt dzwoni. Po drugiej stronie głos: „Za godzinę będę”. Dawajmy do centrum, tam coś się dzieje. Włodarz nie lubi siedzieć beczynnio. Rozmawia z kolegami, my zbijamy baki w aucie. Inaczej wyobrażaliśmy sobie centrum. Kilka telefonów odbiera wójt. Trochę uśmiechnięty, ale i niepewność rysuje się na twarzy. „Chłopaki, znalazł się rower” – w końcu wydusza. Amplituda emocji do góry. Mało zabrakło, a kupilibyśmy rower, niepotrzebnie. Wracamy pełnym gazem, nikogo po drodze nie bierzemy. Kierowcy aż „pali” się telefon od dzwonienia. Każdej osobie wyraźnie zaznacza, że to sekretna informacja. Dojeżdżamy. Z drogi widać poniżej gościa na koniu. Macha żeby przyjąć. Idziemy, im bliżej tym szybszy krok. Jest, tylko, że ogolony. Trzy sakwy, jednej brak. A w środku nich niemal totalna pustka. Drobną osprzęt rowerowy, kuchenka – szczęście, że nie zabrali, dętki – wentyl presto ich zniechęcił, znowu szczęście – Lamy obiektyw, pompka – dużo ludzi pyta co to jest, a to tylko zwykła pompka, i jakieś drobniaki. Ubrań *niet*. Gruba kasa przepadła. Takie pamiątki. Na co komu ubrania rowerowe, będzie w nich siano zbierał? Debile zabrali podstawkę od licznika (bez licznika, mam w kieszeni), tylko że nie wiedzieli, że w komplecie jest magnes na szprysze. Do czego im ona posłuży? Policja oznajmia sukces! Rower odnaleziony, możecie jechać dalej – oświadcza policja. Nic nie napominają, że resztę trzeba odszukać. Z grymasem na twarzy zbieramy co odnaleziono i na finał do wójta na obiad. Drugi dzień nam poświęcił – dba o dobre imię swojej miejscowości. Nastrój nieco lepszy – tylko te ubrania w głowie siedzą. Oddali część, to stróże powinni powalczyć o resztę. Chyba m.in. po to są. Nie są jednak zainteresowani dalszym poszukiwaniem. Snują się dookoła, żeby zabić czas. Najwięcej pomógł WÓJT. Dwoił się i troił, żeby blamaż zmazać. Serdeczne *Rach mat*. Na odchodne wyjaśnił jak odnalazł się rower. Policja wykonała dobrą robotę. Poinformowała mieszkańców, że zguba ma się znaleźć bo jak nie, to będzie niewesoło dla całej wioski.

Nie tylko mnie się taka historia przytrafiła. W Gruzji Francuz opowiadał jak stracił rower ze wszystkim w Tajlandii. Buchnęli mu włącznie z dokumentami i kasą. Został w spodniach i koszulce. Taka przebojowa historia.

Niewiele mi zostało. Namiot, śpiwór, karimata, spodnie, koszulka i bluza, i odzyskany rower przede wszystkim. Na szczęście paszport i hajs był w namiocie. Było, minęło. Cóż począć. Czy takie historie mogą zrazić do podróżowania? Tylko na krótką chwilę.

Jedziemy dalej. Na przejściu granicznym niewielki ruch. Są dwa rowery, dziewczuki z Polski! Nareszcie można porozmawiać dłużej w ojczystym języku. Po chwili było wiadomo, że najbliższy czas spędzimy razem. Zmierzają w tym samym kierunku. Jedna przydarła tu z samej Wielkopolski i dalej w kierunku Chin zmierza, druga do niej dołączyła w Osh, a kończy w Ałmacie. Tak wędrują obie po górach i dolinach. My swoim tempem, one swoim. Spotykamy się ponownie w Kegen, obiad. Nocleg spędzamy razem. Było o czym porozmawiać. Prym w rozmowach wiedzie Lama. Rozkręca się, o gwiazdach opowiada. Taki z niego astronom.

Nazajutrz. Wszyscy gotowi, można zaczynać. Cel to Kanion Szaryński, taka miniaturka Kolorado. Krajobraz pustynny. Ostro w dół, dnem wyschniętej rzeki. Na zboczach coraz wyżej „tańczą” różnorodne finezyjne formy skalne, zachwycając swym wdziękiem i barwą. Kanion kończy swój kres u brzegu rzeki Sharyn. Ulokowały się tu restauracje. Można zjeść i wypocząć. Hop do wody, uuuu. Wieczorem docierają dziewczyny. Zachwycone kanionem. Zmęczenie od gorąca dało się we znaki. Coś na ząb, toaleta i nocleg na stole.

Wkraczamy powtórnie w rejon żarki. Od rana srogo grzeje. Żegnamy się z Asią i Agą – takie miały imiona. Miło czas wspólnie przebiegł. Dzięki i powodzenia. Prosta po widnokrąg, w gębie zasycha ciągle, jakby się miało suszarkę wycelowaną w twarz, pracującą na pełnych obrotach. Wody nie ujrzyś. Pierwszy napotkany sklep ratuje życie. Ciągłe spacerowanie do lodówki, pić się chce na okrągło. Jedna, druga, trzecia butelka. Lepiej.

Po prawie dwóch miesiącach znowu jesteśmy w Ałmacie. Zatoczyliśmy koło. Mamy dzień zapasu, wykorzystamy go na relaks. Dolina prowadząca do Jeziora Ałmatyńskiego świetnie się do tego nadaje. Oferuje mnóstwo miejsc gdzie można biwakować. Spędzamy tu cały dzień.

Trochę połaziliśmy po mieście. Kierunek lotnisko. Pudełka, ciekawe czy są? Zabrali z placu budowy kontener, pod którym były schowane pudełka. Nie do wiary. Jakimś cudem jedno pudełko się zachowało, leży w chaszczach. Lama zadowolony, bo to jego. Szukamy noclegu jak najbliżej lotniska. Z pomocą przychodzi dwóch chłopaków. „Jak nie macie gdzie spać, to chodźcie z nami, mamy super miejscówkę dla was” – zachęcają. Na miejscu okazuje się, że pilnują hotelu, który jest w remoncie, 50 m od lotniska. Cud. Jeszcze nas nakarmili.

Przed wylotem pasowałyby się umyć. Na tej budowie, co schowane były pudełka, widziałem prowizoryczny prysznic, szlauch przywieszony na płocie. W samych galotkach bierzemy prysznic, wokół robota na budowie wrze. Koparki równają ziemię, wożą piach, kręcą się ludzie, wszyscy nas widzą. Mimo tego nikt nie zwraca uwagi na to, że jakichś dwóch bierze prysznic na budowie. A gdzie przepisy, nakazy, zakazy? Normalny świat. Wszyscy się uśmiechają. Może rzeczywiście jesteśmy trochę walnięci. Gdzie jakiś człowiek z Zachodu brałby prysznic na budowie?

Koła samolotu odrywają się od pasa. Smutek i radość. Wracamy do domu.

Więcej o wyprawie można znaleźć na stronie Krystiana Chruścielewskiego na Facebooku.